

Nr. 1 bezpłatny

POTWORNA MATKA

TRAGICZNE DZIEJE NIESZCZĘSLIWEJ CÓRKI



mediatekaCLZ

■ KSIĄZNICA
PODLASKA

Zeszytem niniejszym rozpoczynamy powieść pt.

"POTWORNA MATKA"

Tragiczne dzieje nieszczęśliwej córki

Już sam tytuł tego oryginalnego dzieła literackiego zbudzić musi głębokie zastanowienie. Jest bowiem zaprzeczeniem wszystkich naszych wyobrażeń i przekonań.

MATKA — to najpiękniejsze wspomnienia dzieciństwa...

MATKA — oznacza wszystko co najszlachetniejsze...

MATKA — jedyna opieka i oparcie w najtrudniejszych chwilach życia...

Jakże cierpieć musiała niewinne serce subtelnej dziewczęcia w ciągłej walce z „POTWORNĄ MATKĄ”.

MATKĄ — która przez zbrodnię zdobyć chciała spótną miłość...

MATKĄ — zaszpeconą kobietą bez skrupułów, poświęcając męża i jedyne dziecko dla swych występnych zachcianek...

Czytelnicy ze szczerym wzruszeniem od pierwszej do ostatniej karty śledzić będą tragiczne dzieje nieszczęśliwej córki, jej potwornej matki i wielu innych charakterystycznych postaci, biorących żywy udział w sensacyjnej akcji.

Oddając pierwszy zeszyt tej powieści do rąk Czytelników jesteśmy przekonani, że każdy, kto ten zeszyt przeczyta już się z naszą powieścią nie rozstań i z wielką niecierpliwością oczekiwać będzie coraz bardziej fascynującego, dalszego ciągu.

Cala powieść zowarta jest w 35 zeszytach

Co tydzień ukazywać się będą trzy zeszyty.

Cena zeszytu 10 gr.

Wydawnictwo: „Prasa Powieściowa” Sp. z o. o. W-wa, Zabła 3.
Tel. 238-98. P. K. O. 21367.

Druk.: „Carbonizacja”, W-wa, Wielka 9.

POTWORNA MATKA

Tragiczne dzieje umęczonej córki

1.

Jakkolwiek osobliwymi, jakkolwiek przerażającymi są niektóre sceny dramatu paryskiego, którego rozpoczynamy opowiadanie, niemniej jednak dramat ten jest zupełnie prawdziwy. Gdyby było potrzeba, moglibyśmy zacytować źródło, z którego czerpaliśmy.

Ulica Anbry jest jedną z najdawniejszych wśród ulic historycznych Paryża, a bulwar Sewastopolski przecina ją na dwa szczyty.

Stara ulica i domy stare.

Prawie w samym środku ulicy istnieje czarno pomalowany dom, ledwie trzypiętrowy i to o piętrach bardzo niskich.

Cały dół zajęty był wyłącznie na magazyn artykułów spożywczych.

W chwili gdy zaczyna się niniejsza historia, szeroka wstęga u domu, umieszczona ponad drzwiami sklepu, nosiła te wyrazy, wypisane dużymi, żółtymi literami:

ARTYKUŁY SPOŻYWCZE

sprzedaż hurtowa i detaliczna.

JERZY TROUBLET, Sukcesor.

Dawniej Tordier.

Wybiła właśnie godzina wpół do dziesiątej zrana.

Zbytecznym wydaje się nam powiedzieć, że w tej ludnej dzielnicy życie czynne i hałaśliwe zaczyna się od świtu, a kończy się późno w nocy.

Powozik dobrze utrzymany ale bardzo skromny, zaprzężony w konia wcale nie eleganckiego i powożony przez stangreta w ciemnej libesji, wyjechał z bulwaru Sewastopolskiego i zatrzymał się przed wspomnianym domem.

Z powozu wysiadł mężczyzna lat około pięćdziesięciu, z twarzą otwartą i poczciwą, oczywiście, jaśniejącymi inteligencją, starannie wygolony, z włosami siwiejącymi i nieco przydługimi, w białym krawacie, ubrany czarno.

Z postawy i ruchów odgadnąć w nim można było od pierwszego rzutu oka albo urzędnika, albo doktora.

I rzeczywiście był to doktor.

Doktor zapuścił się w śleń wąską i ciemną, gdzie rozchodził się ostry zapach wilgoci, i wszedł na pierwsze stopnie schodów, licho oświetlonych przez okienko w górze.

Dom ten nie miał wcale odźwiernego, ale to bynajmniej nie kłopotalo doktora, znającego tutejszych mieszkanców; pewnym krokiem przebył schody i zatrzymał się przed drzwiami na drugim piętrze.

Blaszka miedziana, przybita do drzewa czterema gwoździkami, nosiła nazwisko: JAKUB TORDIER.

(Tordier był właścicielem tej kamienicy).

Dom, posiadający trzy piętra, miał tylko dwa mieszkania.

Troublet, właściciel sklepu spożywczego, lokator magazynów parterowych, mieszkał na pierwszym piętrze.

Tordier zaś zajmował drugie.

Doktor zadzwonił.

Po chwili dały się słyszeć kroki wewnątrz mieszkania, drzwi się otworzyły i ukazała się w nich szczególna istota.

Była to kobieta lat około czterdziestu, mała i szczupła,

z rękami niepomiernej długości i podobnymi do tych, jakie mają pewne gatunki małp.

◊ Nieproporcjonalność ta jednak, znikła jeszcze wobec potwornej włgłości głowy między wystającymi ramionami.

Natemniast twarz tej kobiety, tak pokrzywdzonej przez naturę, była szczególnej, a moglibyśmy powiedzieć przerażającej piękności.

To wyrażenie przerażająca jest trafne, bo cera matowej białości, wielkie oczy czarne o wejściu sfinksa, usta o wargach grubych, zmysłowych, czerwonych od napływającej krwi, stanowiły coś złowrogo i przywodziły na myśl wizerunek małżonki Wampira.

Włosy czarne, bardzo gęste i bardzo długie, wydawały się zbyt ciężkimi dla głowy, którą wieńczyły.

Osobliwsza ta istota, żywy fenomen, który się nam ukazał, dbała widocznie wielce o ułożenie włosów, wiążąc je w utracone warkoczki i paki.

Zresztą była to jej kokieteria jedyna, ciało bowiem szczupłe i bezkształtne, gnieło w fałdach szlafrocka z ciemnej materii, źle skrojonej i kupionej zapewne w jakim podrzędnym kramie.

— Dzień dobry kochanej pani Tordier — oderwał się doktor z uśmiechem, zdejmując kapelusz.

— A! to pan, panie doktorze. Dzień dobry — odparła garbaska głosem o nosowym brzmieniu, właściwym prawie wszystkim osobom, mocno garbatym.

— Tak, to ja, kochana pani, i do usług.

— Posyłałam do pana wczoraj wieczorem.

— Ja wróciłem do domu dopiero o trzeciej zrana... Byłem przy pogogu; ale widzi pani, nadbiegam zaraz... Zapewne chodzi o pana Tordier?...

— A o kogóżby, jeśli nie o niego?... Jemu zawsze jest coś, a przynajmniej tak mu się zdaje...

— Miejmy nadzieję, że tym razem nic poważnego?...

— Albo to z tym człowiekiem można coś wiedzieć?... On jest delikatniejszy od dziewczynki.

— No, no, zobaczymy.

Te kilka słów zamienione zostało między garbatą i doktorem w przejęciu przez przedpokój desyć obszerny, prawie tak samo licho oświetlony, jak i schody.

W przedpokoju tym znajdowało się czworo drzwi.

Pierwsze prowadziło do pokoju jadałnego, drugie do salonu, trzecie do kuchni, czwarte wreszcie otwierały się na korytarz sienny, wiodący do innych pokoi, to jest do trzech sypialni i do dwóch obszernych garderób.

Dwie rodziny mogłyby się pomieścić w tym mieszkaniu o tak nie wygodnym rozkładzie i zawalonym sprzętami, jakby w sklepie sprzedaży starych mebli.

Cisza grobowa panowała w tym wnętrzu, gdzie okna o szybach ciemno zielonych darzyły światłem więziennym.

Pani Tordier otworzyła drzwi od korytarza i poszła naprzód.

Doktor postępował za nią, prawie po omacku.

Na końcu korytarza zaprowadziła go do pokoju sypialnego, którego okna wychodziły na ulicę.

Gęste firanki wełniane, zniszczone od długiego używania, prawie zupełnie tamowały światło.

Wyglądało jakby w tym domu umyślnie utrzymywano sztuczny zmrok.

Łóżko, otoczone takimiż firankami, jak okno, stało na prawo od wejścia.

Pod firankami, w cieniu, spostrzedz, a raczej odgadnąć się dawała na białej powłoczce poduszki twarz blada z oczyma zapadłymi i nierównymi kosmykami siwiejącej brody.

Doktor skierował się do łóżka.

— Niech pani będzie łaskawa podnieść firanki—rzekł do garbatej.

Ta spełniła życzenie.

Po drutach poszły firanki w górę, i wtedy można było się już przyjrzeć dowolnie choremu, Jakubowi Tordier.

Był to mężczyzna pięćdziesięcioletni, ale wyglądał na jakieś lat siedemdziesiąt.

Twarz literalnie wyschła jak ciało. Skóra, barwy nieledwie miedzianej, przylegała do kości, w zapadłych oczach zaledwie można było zauważyć źrenice.

Ramiona spoczywające na kółkach, łączyły się rękoma długimi, bezkrwistymi, prawdziwymi rękoma szkieletu.

Chory powoli, z trudnością, podniósł głowę i zwrócił wzrok ku przyszłowi.

Miał wzrok błędny, jak gdyby nie widział nic.

— To pan doktor Reynier — rzekła garbuska głosem, do grzechotki podobnym i tonem szorstkim.

— A! — wybełkotał chory — to pan, doktorze...

— Tak, mój szczerzy przyjacielu, to ja... cóż to panu jest...

— Ja nie wiem...

— Jakiś, nie wiesz pan!

— Nie, doktorze...

Garbuska wzruszyła ramionami drwiąco.

Doktor podchwycił:

— Ależ trzeba wiedzieć, mój szczerzy przyjacielu! ja przecież nie mogę wszystkiego odgadnąć.

Chory podniósł kościstą rękę na poduszkę i odpowiedział:

— Boli mnie tam... szarpie... pali...

— Zobaczymy zaraz...

I, uniósłszy trochę Jakuba Tordier, doktor zabrał się do oskultowania go, do badania szczegółów, dla postawienia diagnozy.

Julia Tordier — tak się nazywała garbata — śledziła ciekawym wzrokiem poruszenia doktora, badała jego fizjonomię.

Zauważyła, jak kilkakrotnie zmarszczył brwi, dowód widoczny, iż wcale nie był zadowolony z rezultatu swoich oględzin.

— To chyba musi być coś poważnego... — rzekła do siebie i blask jakiś dziwny zapalił się w głębi jej zagadkowych oczu.

II.

— Czy jada pan zwykle z apetytem? — zapytał nagle doktor chorego.

Ale nie chory, lecz garbata odpowiedziała żywo:

— Jada jak smok! — Dzięki Bogu! jedzenia u nas nie braknie!...

Chory wyjął głosem tak słabym, że go ledwie można było zrozumieć.

— Nieprawda! Od wielu dni już wcale nie jadam...

— Głowa panu ciężka?

— Ciężko.

— W pierniach gorąco?

— Jakby ogień.

— Pluje pan krwią?

Tym razem pani Julia Tordier znowu odparła:

— Mało, doktorze, bardzo mało.

— No, to pana z tego wyprowadzimy, mój szczerzy Tordier...

Doktor ujął chorego za rękę i, badając puls, w dalszym ciągu mówił:

— Ileż pan sobie liczy lat?

— Pięćdziesiąt kończę 10-go w przyszłym miesiącu.

— Pięćdziesiąt lat, ależ to sama siła wieku! — Przy pięćdziesiątce człowiek ma przed sobą jeszcze dosyć lat życia i pan je będzie miał, ale pod jednym warunkiem...

— Pod jakim, doktorze?...

— Ze zmieni pan ze wszystkim swój sposób odżywiania, który uważam za wadliwy zasadniczo... Panu po-

trzeba pokarmów posilnych... mięsa pieczonego i smacznego... naturalnie, mięsa soczystego, dobrych antrykotów, kotletów... Do picia zaś wino bordo i od czasu do czasu kieliszek madery...

Jakub Tordier patrzył z miną oszołomioną na doktora, który ciągnął dalej:

— Przecież masz pan, do diabła, majątek, i to piękny majątek! Nie jesteś pan w położeniu tych wielu ludzi, którym również to samo zalecałbym, gdyby stan ich kieszonki nie pozwalał zastosować się do mej rady... Pan nie potrzebujesz sobie niczego odmawiać.

Chory kiwnął głową.

— Tak... tak... doktorze — wyrzekł z pewnym wahaniem. — Tak... z pewnością... Mamy środki... Nic nie przeszkadza stosować się do pańskiego systemu... Ale...

— A czyż się tak nie robi? — przerwała garbata cierpko. — Czy się czegoś ma odmawiać? Czy się tu nie jada dobrego mięsa i doborowych potraw?... Czyż się tu nie pije dobrego wina i starego?... Czyż nie ma w piwnicy borda, burgunda, madery i wszystkiego, czego on zechce?... Nie, doprawdy, głosić bierze, gdy się słucha tego człowieka! Mógłby kto pomyśleć, że on nie ma co wziąć na ząb. Ależ, niech pan doktor ani słówka temu nie wierzy!... Co jest najlepszego, to dla niego!...

Doktor zamienił spojrzenie z chorym.

Oczy tegoż w niemej wymowie jakby zaprzeczały energicznie twierdzeniom garbuski.

— Zobaczę cię, Tordier, wkrótce — rzekł doktor, ściskając mu rękę — i spodziewam się, że cię zastanę już dobrze, bo powtarzam ci, twój stan nie ma w sobie nic niebezpiecznego... Zapiśzę lekarstwo, a pani Tordier dopilnuje, ażebyś je brał...

— Chciałbym zobaczyć córkę — wyszeptał chory blagłym tonem.

— To, mój szczerzy przyjacielu — odparł lekarz — jest

już rzeczą zupełnie prywatną i osobistą. To już rzecz twoja i żony, ale ja ze swej strony nie stawiam żadnej przeszkody.

Tordier powtórzył:

— Chciałbym ją zobaczyć...

Z gardła wydarło mu się łkanie; dwie grube łzy popłynęły po chudych policzkach.

— Doprawdy — wykrzyknęła brutalnie garbuska — jest też po co smućć to dziecko, sprowadzające do pokoju chorego z przywidzenia, który się skarży dzień i noc... Odrywać ją od nauki, zabierać z pensji, ależ to byłoby głupstwem! Czas będzie o tym myśleć w przyszłym miesiącu!

Tordier westchnął głęboko.

— Do widzenia, mój przyjacielu... — powtórzył doktor.

I wyszedł z pokoju sypialnego.

— Muszę zapisać lekarstwo — rzekł do garbatej, która szła za nim i otworzyła jedno z drzwi, wychodzących na korytarz.

— Niech pan wejdzie, doktorze, do pokoju jadalnego — odparła.

Pokój jadalny był obszerny, zawałony jak i inne sprzętami, nie trzymającymi się kupy.

Wskazówka na wielkim zegarze, którego wahadło wydawało jednostajne tik-tak, w szafce drewnianej, znaczyła dziesięć minut na dwunastą.

Kalendarz zaś do zdzierania, jeden z tych, jakie wielkie sklepy dają nabywcom, jako prezent, lub reklamę, wskazywał datę:

24 maja.

Doktor położył kapelusza na duiym stole owalnym, okrytym starym szalem zamiast serwety.

U okien wisiały firanki z rysu niebieskiego, półokle od starości.

Garbuska przysunęła doktorowi krzesło, postawiła przed nim kałamarz, arkusz papieru, pióro i podniosła rolety, żeby w pokoju było trochę widniej.

— Kochana pani — wyrzekł doktor pomurym głosem — jak mi się zdaje, nie przypuszcza pani wcale, jaki jest stan męża?...

Blask dziwny, już przez nas zauważony, zapalił się znowu w czarnych źrenicach garbuski, i zapytała ona żywo:

— Czyżby Jakub był niebezpiecznie chory?

— Niebezpiecznie, tak... bardzo niebezpiecznie...

— Jednakże nie uważa pan stanu jego za rozpaczliwy?

— Doświadczam prawdziwego niepokoju... Uczynię wszystko, co zależeć będzie ode mnie, żeby ocalić męża pani... ale nie jestem pewny dobrego rezultatu moich usiłowań... Jakub Tordier, jakkolwiek jeszcze młody względnie, bardziej zniszczony jest niżli wielu starców. Zbyt długie niezasilanie dostateczne organizmu spowodowało ten stan krytyczny, wobec którego znajdujemy się dzisiaj...

— Cóż znowu — zawołała głosem nocowym — czy sądzi pan, że mu się nie daje dosyć jedzenia?... Sądzi pan, że mu czego brak, że mu na czym zbywa?...

— Ja ani sądzę, ani nie sądzę... ja stwierdzam tylko fakt... Słyszała pani, jak pojmuję odżywienie konieczne, niezbędne dla pana Tordier...

— Słyszałam... — odparła oschle garbata.

— Jak obecną, trzeba opanować chorobę. Może Pan Bóg pozwoli mi to uczynić. Tordier ma dopiero lat pięćdziesiąt... Miałby on prawo w tym wieku spokojnie żyć i zakosztować dobrobytu po młodości, spędzonej całkowicie na pracy.

Lekarz, mówiąc to, umoczył pióro w atramentnicę i napisał receptę.

Garbata patrzyła nań wzrokiem prawie dziłkim.

— Proszę pani — rzekł, wstając i podając pani Tordier zapisaną ćwiartkę papieru. — Liczę bardzo na to lekarstwo. — Jest ono bardzo energiczne, a jeśli nie przeciwdziała postępowi choroby, to wszystko stracone. Lekarstwo winno być dawane jak najpункtualniej. Dwie łyżeczki dziś w wieczór o piątej. Dwie łyżeczki o ósmej i dwie ostatnie o jedenastej... Zrozumiała mnie, pani?

— Doskonale.

Doktor ciągnął dalej:

— Niech się pani nie przestrasza... gdy po ostatnich dwóch łyżeczkach nastąpi kryzys, prawdopodobnie ostry. Od tego kryzysu zależy wyzdrowienie zupełne... Gdyby ten kryzys nie objawił się, gdyby się nie wywiązała gwałtowna gorączka, połączona z majaczeniem, należałoby po mnie przysłać natychmiast... Słyszysz pani, natychmiast... Od tego zawisło życie męża pani...

— Tak, słyszę, doktorze, i rozumiem...

— Dieta przez dziś ma być najsupełniejsza... Jutro zobaczymy... Niech pani zaraz pośle do apteki moją receptę.

— Dobrze, doktorze — powtórzyła garbata.

— Pan Tordier wyraził gorące życzenia zobaczenia córki. Podług mnie, dobrze byłoby, aby pani spełniła te jego życzenia... zwłaszcza, że to bardzo łatwo...

— A! tak pan sądzi! Ależ się pan myli...

Córka moja jest na pensji nie w Paryżu, a ponieważ mąż leży w łóżku, nie mogą jechać przecież po nią...

— A ktoś pani przeszkadza do posłania służącej...

— Ja sama jestem w domu... Służącą wyjechała wczoraj wieczorem do Paryża, na pogrzeb matki...

— A! zresztą, to jest rzecz pani... To rachunek pani z własnym sumieniem... tu doktor może tylko radzić, a nie rozkazywać... Do widzenia... będę jutro...

Doktor wziął kąpiel i uklonił się garbusce, która go odprowadziła do drzwi, po czym je zamknęła za nim.

Przez te kilka chwil została nieruchoma w przedpo-
koju, z oczyma, utkwnionymi w papier, który trzymała
w ręce.

Nagle spojrzenie nabrało wyrazu okrutnego.

Dreszcz wstrząsnął od głowy do stóp jej ciałem chu-
dym i bezkształtnym. Usta się rozchyliły.

— Jeszcze wyzdrowieć może! — wyszeptała głosem
cichym.

Po tym, ręką machnąwszy, jakby dla odpędzenia jak-
iejsz myśli, opanowującej jej umysł, przeszła przez kory-
tarz, otworzyła drzwi do swej sypialni, umeblowanej za-
lotniej, a raczej pretensjonalnie, niżli reszta mieszkania.

Zamknęła drzwi, rzuciła receptę na stół, wyjęła z kie-
szeni pęk kluczy, wybrała jeden z nich i przystąpiła do
biurka bardzo starego, ozdobnego antabkami niegdyś zło-
conymi, dzisiaj zaś już wytartymi.

Biurko otworzyła kluczem i z szuflady wyjęła dwie
fotografie, zawinięte w bibułkę.

Gorączkowo rozzerwała kopertę i wydobyla z niej je-
dną fotografię.

Była to podobna mężczyzny lat około trzydziestu,
obdarzonego bujną czupryną i długimi wąsami, zakręco-
nymi po wojskowemu.

Oczy miał bardzo duże i fałszywie patrzące, brwi gę-
ste, nos wydatny i lekko orli, wargi grube, na wpół otwarte
w uśmiechu rozkazującym i odsłaniające zęby białości ol-
śniewającej.

Twarzy tej brakowało pewnej dystynkcji, a wyraz
jej nie znamionował wysokiej inteligencji.

Jednakże, patrząc na ten portret, nie podobna było
nie powiedzieć:

— Sympatyczny nie jest, ale diablo piękny ten
chłopiec.

III.

Oczy garbuski wpatrzyły się w tę fotografię, z nie-
zwykłym uśmiechem.

Formalnie padały z nich błyskawice, cała twarz się
rozjaśniła.

Uśmiech bachantki, pijanej winem i miłością, zjawił
się na jej ustach koloru krwi.

Ręce jej kościste zaczęły drżeć, tak dalece wielkim
było wzruszenie.

Po kilku chwilach wpatrywania się w twarz mężczy-
zny, zbliżyła do ust fotografię, ucałowała ją, szepcząc gło-
sem już teraz słodkim:

— Ach! gdyby on wiedział, jak ja go kocham...

Po tym uniesieniu uspokoiła się trochę.

Pani Tordier spojrzała jeszcze po raz ostatni na wi-
zerunek mężczyzny, położyła go znowu na stole i wzię-
ła drugą fotografię.

Obrazek ten przedstawiał twarz młodej dziewczyny
lat szesnastu lub siedemnastu, piękności wielce wytwor-
nej, delikatnej i niewinnej.

Dwa grube warkocz wiciów jasnych opasywały
głowę.

Oczy wielkie, pełne wdzięku, musiały być zapewne
koloru niebiesko stalowego.

Twarz garbuski zaszepiała się.

Oczy jej przybrały wyraz okrutny, głosem głuchym
z pewnym szyderstwem wyszeptała:

— Ładna jest ta lalka! Piękną nawet jest!... Piękną,
ale jak lalka z wosku... Ona nie jest...

Garbata przerwała sobie, a twarz jej się wykrzywiła.

Czuła było, że niedomówiony wyraz palił jej wargi.

Ruchem szybkim zwinęła w bibułę fotografię i scho-
wała je znów do biurka, po tym stała jeszcze przez chwilę,
młcząc, nieruchoma, z głową, zwieszoną na piersi, które
falowały szybko, jakby zadyszane.

Nagle podniosła głowę, przystąpiła do szafy ze zwierciadłem, w którym mogła się widzieć cała i przejrzała się w lustrze.

Dreszcz wstrząsnął nią od stóp do głowy.

— Ona dobrze zbudowana — wyjękała — a ja jestem bekształtna!... Ona młoda! a ja nią już nie jestem!... Ona pociąga do siebie, a ja od siebie odpycham!... Kiedy ona idzie, to na nią każdy patrzy... Zachwycają się nią!... Ja kiedy idę, słyszę zaraz wrzaski: „Patrzeć! idzie garbuska!”

A przecież serce moje bije tak, jak i jej, a nawet silniej!... Ja umiem tak kochać!... Ja kocham tak, jak ona nigdy kochać nie będzie!...

I cóż mi z tego, że jestem bogatą?...

O! gdyby piękność kupić było można, jak drogo gotowam za nią zapłacić!... Okupiłabym ją chętnie całym moim majątkiem i nie żał mi byłoby biedną być, po zapłaconiu za nią!...

Garbuska ukryła twarz w dłoniach i łzy wściekłości popłynęły z jej oczu.

Ten atak nerwowy po chwili już przeszedł.

Pani Todier wyprostowała się, o ile jej na to pozwalała bekształtność, odpychała od siebie ponure myśli, które ją trapiły, wzięła receptę, położoną na stole i, wyszedszy z pokoju, skierowała się do pokoju mędrowskiego.

Chory, zobaczywszy ją wchodzącą, podniósł się z trudnością.

— Cóż powiedział doktor? — zapytał głosem słabym, ledwie zrozumiałym.

— A! powiedział, że to nic — odparła garbuska.

— Nic!... — powtórzył Tordier, opadając na poduszki.

— To rzecz najwyżej kilku dni.

— Ja jednak cierpię... bardzo cierpię...

— Czegoż to dowodzi? Cierpienie jeszcze nie stanowi o niebezpieczeństwie!... A doktor jest człowiekiem bar-

dzo zdolnym i zna się doskonale! Skoro twierdzi, że wyzdrowiejesz, to musi być tego pewny. Ponieważ jesteś tak zestrachany, zapisał lekarstwo, ażeby cię uspokoić, ale to nawet zbyteczne. Jesteś po prostu chorym z przywidzenia i przy najmniejszej dolegliwości tobie się zaraz wydaje, że umrzesz...

— Umrzeć! — wyrzekł chory z goryczą — dla mnie byłoby to rzeczą obojętną... gdyby nie moja córka.

— Nie grajże przynajmniej komedi! — odparła garbuska tonem drwiącym. — Nikt na świecie nie boi się tak śmierci, jak ty!... Dlatego zawsze wszystko przedstawia ci się jak najgorzej!... A ci doktorzy, te lekarstwa, to drogo kosztują... bo przecież ciągle płacę i płacę rachunki aptekarzowi.

— Ależ ja nic nie brałem!... — wyjąkał łkliwie chory.

— No... no... dobrze... dobrze. Kto ciebie o to pyta... Lepiej byłoby, żebyś milczał.

— O! wyszeptał nieszczerliwy, usiłując ręce podnieść ku niebu.—Bóg mi świadkiem, że gdyby nie Helena, przagnąłbym śmierci!

— A skończysz ty jęczyć! — zawołała garbuska. — Wiesz, że ty mnie zabijasz tymi swymi ciągłymi jęknieniami!... Tego już dosyć mam! Ładny interes!... Czy ty na co się przydasz na tym świecie?... wielkie nieszczęście nie byłoby, gdybyś umarł, ale ty nie umrzesz!... Ho! ho!... ty jeszcze niestety jesteś krzepki!

— Czuje, że tym razem umieram! — odpowiedział chory. — Z łóżka już mnie podniosą po to tylko, ażeby ułożyć do trumny. Wprzód jednak chciałbym się zobaczyć z Heleną... moją córką... Tego nie możesz mi odmówić...

— A jednak odmawiam...

— Dlaczego?

— Doktor zabronił.

— Ależ nie prawda, ty tylko nie chcesz.

— Powiedział ci, że zabronił — przerwała garbuska—

a gdy co mówię, to chyba można mi wierzyć... Cóż poradzi twa córka na taką chorobę?... Myślisz może, że ona potrafi cię lepiej pielęgnować niż ja?... Ta mała indyczka nie umiałaby nawet przyrządzić filiżanki rumianku.

Jakub Tordier wydał stłumione westchnienie.

To westchnienie przyprowadziło garbuskę do wściekłości.

— No! dosyć już tego! — zawołała brutalnie. — Schowaj sobie te kaprysy na kiedy indziej!... Śpij, to lepiej ci zrobi, niż to jęczenie... Ja idę do apteki po lekarstwo... Także pieniądze rzucone w błoto.

— Chciałbym zobaczyć córkę! — wyjąkał chory z uporem. — Chciałbym zobaczyć moją córkę...

Julia nie raczyła nawet odpowiedzieć. Wyszła pogardliwie ruszywszy ramionami.

Jakub Tordier zasłonił kołdrą zmienioną twarz.

Ukrywał łzy.

Garbuska wróciła do swego pokoju.

Włożyła na szlafroczek ciemny wełniany szary szal, na głowę kapelusz, przerabiany przez nią samą z dziesięć razy i wyszła z mieszkania, pozamykawszy drzwi na klucz.

U W A G A !

Również i zeszyt 2-gi tej powieści możesz otrzymać **zupełnie bezpłatnie** w każdym kiosku gazetyjnym.

Dopiero zeszyt trzeci jest płatny.

A więc, jeśli Cię zainteresowała ta naprawdę emocjonująca powieść, śpiesz do najbliższego kiosku a otrzymasz darmo drugi zeszyt „**POTWORNEJ MATKI**”.

Czytajcie naszą serię
pięknych książeczek
ALASKA-JIM!

Pod tym przezwiskiem występuje glośny bohater polcji kanadyjskiej, kapitan Jim Hoover.

Imię to spowite jest na dalekiej północy kanadyjskiej nie-samowitym urokiem.

Z nieustraszoną odwagą tępi Alasko-Jim wszystkich złoczyńców, których tak wielu jeszcze grasuje na rozległych przestrzeniach Kanady. Jego przygody — to najbardziej fascynujące, najbardziej przejmujące przeżycia. Na każdym kroku czyha na niego śmierć, ale Jim Hoover i jego wierny sługa,

INDIANIN EOB TANANA

stawiają czoła wszystkim niebezpieczeństwom i z każdej walki wychodzą zwycięsko.

Oto tytuły pierwszych tomów:

- | | |
|---|--|
| 1. Ostatnia zbrodnia Sze-
rokiej Twarzy. | 11. Tajemnica czarnego ta-
lizmanu. |
| 2. Tajemnica kopalni złota. | 12. Pułapka nad jeziorem. |
| 3. Wyspa śmierci. | 13. Dramat na lodowej pu-
styni. |
| 4. Zemsta Białego Wodza. | 14. Futra mistra Nortona. |
| 5. Powietrzni piraci. | 15. Żona wodza. |
| 6. Bohater tundry. | 16. Jeźdźcy ognia. |
| 7. Przełęcz grozy. | 17. Zemsta jeźdźców ognia. |
| 8. Koniec Rudego Roba. | 18. Walka o życie. |
| 9. Płynne złoto. | 19. Napad na warłę. |
| 10. Skalp szpiega. | 20. Śmierć Wanoby. |

Każdy tomik zawiera 32 strony oraz piękną wielokolorową okładkę.

Cena tomiku — 10 groszy.

Do nabycia we wszystkich kioskach gazetowych lub
w wydawnictwie:

„Prasa Powieściowa”, Warszawa, Żabia 3. P. K. O. 21.767.

Za cały komplet „Alaski” (20 tomików) liczymy zł 2.— już
wraz z kosztami przesyłki. Za zaliczeniem nie wysyłamy.